EPOKA

TYGODNIK

ROK II — Warszawa, 24 grudnia 1933 R. — NR. 52 (65

Cienie ideowców

Niedobre obyczaje

Ucieczka murzynów

Nasi żebracy

Opowiadania Bunina

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Wasowski. Lukrec. Krahelska. Michałowski. Waśniewski. Dargielowa

C — Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

Z dniem dzisiejszym zawieszam wydawnictwo EPOKI, ponieważ nie mam środków na dalsze wydawanie pisma.

EPOKA rozwijała się dobrze — zwłaszcza ostatniemi czasy — nie w takiem jednak tempie, które zapowiadałoby rychłe pokrywanie wydatków.

Nie tracę nadziei, że może kiedyś uda mi się wskrzesić tę placówkę publicystyczną, która w niedługim stosunkowo czasie zdołała sobie pozyskać wielu przyjaciół. Ze strony czytelników, rozsianych po całej Polsce, otrzymywałem liczne dowody życzliwości, za które składam serdeczne podziękowanie.

Publicyści, którzy zabierali głos na łamach EPOKI, nie ustaną w pracy, będą w dalszym ciągu służyli hasłom, które przyświecały EPOCE. Tracimy placówkę wspólną, lecz nikt z nas nie ustanie w walce o drogie nam idee.

Kolegom po piórze dziękuję za współpracę.

Józef Wasowski

Od wydawnictwa „EPOKI"

Abonenci, którzy zalegali w opłacie prenumeraty, proszeni są usilnie o uregulowanie należności.

W ten sposób przyczynią się do zmniejszenia strat, poniesionych przez wydawcę.

NA PÓŁ SERJO

W londyńskiem piśmie *The New Statesman and Nation* znajdujemy poniższą „fantazję proroczą" na r. 1934:

1 — 7 stycznia: Chrześcijanie niemieccy żądają kategorycznego ustalenia raz na zawsze, drogą specjalnego plebiscytu religijnego, że Jezus nie posiadał przodków niearyjskich.

Paul Boncour w elokwentnej mowie wyjaśnił, że „Francja jest żołnierzem ludzkości i zawsze niezłomnie trwać będzie"...

10 stycznia: Prezydent Roosevelt oświadcza, że należy położyć kres nadprodukcji. Jest zadużo butów, koszul, aut. Rząd federalny zakupi więc te wszystkie przedmioty (również gumę do żucia), po cenie niższej o 5% od rynkowej. Haussa. Dolar wspina się wzwyż.

15 stycznia: Wspaniały sukces niemieckiego plebiscytu chrześcijańskiego: 50 miljonów na zero.

20 stycznia: Hitler wyjaśnia w wielkiej mowie, że naród niemiecki nie chce tylko pokoju i równości, lecz jakże może pozostać bierny, widząc miasta prawdziwie niemieckie (echtdeutsch), jak Wiedeń, Pragę, Kijów, Warszawę, uciskane przez Czechów, Polaków, Żydów i komunistów.

P. Henderson wraca na Konferencję Rozbrojeniową.

25 stycznia: Sir John Simon oświadcza, że czytał mowę Hitlera, jeśli nie z całkowitą aprobatą, to z zainteresowaniem i szacunkiem.

20 lutego: Utworzenie nowego rządu francuskiego. Paul Boncour kontynuuje swoje przemówienia: „Francja prowadziła w ciągu całej swej sławnej historji tę samą politykę"...

1 marca: Uniwersytet berliński ogłasza wyniki kolektywnych badań nad historycznością genealogji ewangelicznej. Dowodzi, że imiona żydowskie są fałszywe, a miejsce Józefa winien zająć Germanius Sanguinolentus Horridus, centurjon legjonu w Galilei.

3 marca: W wyniku plebiscytu Galileę uznano za terytorjum niemieckie.

10 marca: Liczba koszul, butów, aut, zakupionych przez rząd U. S. A. staje się kłopotliwa.

12 marca: Sir John Simon oświadcza, że pogląd rządu amerykańskiego w kwestji butów oraz poglądy niemieckie na Galileę zawsze spotkają się z najgłębszem uznaniem ze strony Foreign Office.

25 marca: Hitler, przemawiając na uroczystości ku czci zabójców Rathenaua, stwierdza, że Niemcy odnalazły teraz swoją duszę. Rzesza chce tylko pokoju: lecz nie znajdzie go, dopóty będzie miała jako sąsiada zazdrosną i mściwą Francję. Projekt plebiscytu, dla uchwalenia ewakuacji Francuzów z Europy.

2 kwietnia: Rezultat plebiscytu: Francja musi opuścić Europę.

20 kwietnia: Paul Boncour kontynuuje: „...wzniesiona na piedestał nie pychy, ani fałszywej sławy, lecz odwagi, szlachetności i nieskazitelnej, nieustępliwej szczerości"...

1 maja: Premjer angielski piętnuje jako haniebne kłamstwa wszelkie opinje, jakoby rząd narodowy dokonał lub zaniechał tego, co powinien był zrealizować lub uniknąć, czy też vice versa.

7 maja: Generał Araki oświadcza, że Japonja już dość długo cierpiała. Naród umiera z głodu. Finanse zbankrutowane. Wypowiedzenie wojny Rosji, Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanji.

11 maja: Sir John Simon uważa sytuację za cokolwiek niepokojącą. Wypowiedzenie wojny Anglji przez generała Araki uważa Sir Simon za nieporozumienie, usprawiedliwione naporem spraw i trudności, jakie otaczają wybitnego męża stanu Japonji.

16 — 18 maja: Klęska armji japońskiej. Flota japońska jest zniszczona przez sześć miljonów bezrobotnych amerykańskich. Rewolucja w Japonji.

UCIECZKA MURZYNÓW

Londyński *Daily Express* donosi o rozprzestrzeniającej się w Stanach Zjednoczonych fali lynchów:

„Z miast i osad południowych Stanów masowo uciekają murzyni, zagrożeni coraz brutalniejszemi przejawami rasowej nienawiści. Liczna ludność czarnych, przerażona coraz częstszemi praktykami lynchu, porzuca dobytek i zdając się na łaskę przypadku, wyrusza na północ. Atmosfera jest tak burzliwa, że murzyni w obawie o życie. wolą zrezygnować z dorobku, zdobytego długoletnią uporczywą i ciężką pracą. Wystarczy bylejaka przygoda młodej dziewczyny, — prawdziwa lub fałszywa, dowiedziona lub wątpliwa — by skłonić białych do napaści na murzynów.

„Ucieczka rozpoczęła się z małego miasteczka Princess Anne po uwolnieniu przez sąd czterech ludzi, oskarżonych o lynch i uprzednio zaaresztowanych z polecenia gubernatora Ritchie. Tysiące farmerów i rybaków urządziło święto z okazji uwolnie-

nia przestępców. Kilku z nich udało się na cmentarz, odkopało zwłoki murzyna zlynczowanego przez oskarżonych, odcięło głowę trupa i posłało ją gubernatorowi Ritchie „w dziękczynnym darze".

„Było to święto *Thanksgiving Day* (dzień dziękczynnienia). Murzyni w obawie przed nowemi gwałtami, postanowili uciec. Trzystu mieszkańców opuściło nocą miasteczko, tworząc ponurą karawanę, uformowaną ze starych bryczek i nędznych wozów.

„Widać dziś coraz więcej takich kawarni na południu, gdzie murzyn, traktowany jak niewolnik, nie może podróżować pociągiem białych, ani kupić biletu kolejowego.

„Ci zpośród czarnych, którzy nie uciekli w góry, ukrywają się przerażeni w swoich domach i oczekują końca tej fali lynchu. Nie ośmielają się opuścić mieszkań po zachodzie słońca w obawie przed karą z rąk tłumu, za niepopełnione winy.

„W Milledgeville (Georgia) władze były uprzedzone, że tłum chce przypuścić atak na więzienie, w którem czarny, skazany na śmierć za napad na białą kobietę, oczekiwał stracenia na fotelu elektrycznym.

„Były prezydent Hoover złożył pierwsze od czasu opuszczenia Białego Domu oświadczenie:

— „Gubernator kalifornijski Ralph okazał się obrońcą lynchu. Jest to przeciwne duchowi wszelkiego zorganizowanego społeczeństwa. Jest to postępowanie nie-amerykańskie i haniebne dla Stanu Kalifornji".

PLAGA ZNACHORSTWA

W miesięczniku p. n. *Dla Zdrowia*, znajdujemy autentyczną receptę pewnej znachorki, przebywającej obecnie w więzieniu. Następujące zabiegi miały uleczyć suchoty:

„Naparzyć wodę czarciem zielem i nalać do wanienki. Zabić psa a ucięty łeb mocno związać drutem, by się łeb nie rozsypał i wygotować go.

Taki wygotowany łeb włożyć do wanny z czarciem zielem i kąpać w niej chorą suchotnicę przez 9 dni zkolei. Jeżeli chora przez te 9 dni pozostanie przy życiu, to i będzie żyła".

Mięsięcznik *Dla zdrowia* pisze:

„Pacjentka umarła od krwotoków, a znachorka znalazła się za kratką. Godzi się zaznaczyć, że tego autoramentu znachorzy są znacznie mniej niebezpieczni, gdyż działalność ich obliczona jest na najskrajniejszą ciemnotę, to też tego typu szarlatanerja zanika w miarę zmniejszania się liczby analfabetów i powstawania sieci szkół, ognisk oświatowych i ośrodków zdrowia. Zgoła inaczej natomiast ma się rzecz ze znachorami w wielkim stylu, uprawiającymi swój proceder mniej lub więcej jawnie zapomocą różnego rodzaju prądów elektrycznych, efektów świetlnych, „cudownych" rzekomo z najdalszych zakątków świata sprowadzanych ziół, w istocie rzeczy zbieranych w okolicach Skierniewic lub t. p. i sprzedawanych przez apteki za grosze.

„Łatwowierność ludzka nie ma granic, to też znachorzy tego pokroju przeważnie doskonale ubrani, mówiący kilkoma językami, obznajmieni powierzchownie i po dyletancku z panującemi we współczesnej nauce lekarskiej prądami, — potrafią wzbudzić w masach bezkrytycznej klijenteli zaufanie i uznanie niestety zbyt często okupywane ciężkiemi ofiarami".

CIENIE BEZIMIENNYCH IDEOWCÓW

Uroczystości, które się odbyły w związku z piętnastą rocznicą odzyskania niepodległości, miały na celu nietylko dać wyraz radości, że u wezgłowia narodu przestały czyhać widma zaborców i prysła przemoc obca we wszelkiej postaci, ale uroczystości te stanowić miały także wstęgę przeglądu pracy, dorobku, wszelkich zdobyczy w ciągu tego okresu odrodzenia państwowego.

Na tle nowej panoramy dziejów polskich przesunięto obrazy zasługi, pokazano galerję mężów, którzy swoją pracą ofiarną, poświęceniem, wolą wytrwania przyczynili się w sposób wspaniały do stworzenia dzieła niepodległości. Ale jeżeli jest już mowa o moralnem i wychowawczem znaczeniu czczenia zasług największych i najsławniejszych synów tej ziemi, jeżeli przez ujawnianie na paradzie cnoty czynów odwagi i bohaterstwa, uświęconych przy ołtarzu walk o wolność narodu, stwarza się wzory dla nowych pokoleń; jeżeli uważa się je za bodźce do dalszych wysiłków i poświęceń dla dobra ogólnego; jeżeli zaś nadto prócz hołdu żyjącym i sławnym, składać się winno hołdy nietylko poległym i znanym, ale też i cieniom nieznanego żołnierza, to powstaje także jeszcze jeden dziś wielki obowiązek czczenia zasług *nieznanego obywatela* z czasów niewoli.

Mam tu na myśli cichy, bezimienny, ofiarny trud tych wszystkich, którzy bez nadziei doczekania się świtu wolności pełnili swój obowiązek, podtrzymywali ducha nieugiętości, pielęgnowali mowę, bronili uciśnionych, krzewili oświatę, wspierali uwięzionych, szeptali w ukryciu zaklęcia wytrwania w oporze, a spełniwszy swoją życiową powinność wśród głębokich mroków niewoli odchodzili bez uznania, bez skargi, znikali bez szelestu, jak cienie. Pełnili tę powinność, której głęboka treść i waga według słów natchnionego wychowawcy, polegała na budzeniu i kształceniu odwagi we wszelkiej formie: odwagi tej, która będzie potrzebna, gdy wybije godzina czynu, odwagi na dziś, na dzień powszedni, odwagi pozostawania sobą, wyznawania swych uczuć i przekonań, niezapierania się niczego, co jest ideą polskiego *życia i wyzwolenia*.

W umyśle dzisiejszego pokolenia, które wyrosło już i dojrzało w Niepodległej Polsce, które przyjęło jedynie skutki wielkich zdarzeń i procesów dziejowych — niełatwo znajdą wierne odbicie obrazy tych warunków, w jakich poprzednim pokoleniom wypadało żyć, pracować i walczyć pod jarzmem przemocy we wszystkich dziedzinach myśli i ducha. Ale brzemię tych warunków powstawało nietylko wskutek ucisku zewnętrznego, terroru moralnego, złośliwego, bezlitosnego gnębienia ducha narodu, nietylko wskutek kneblowania mowy, literatury, nauki, idei niezależności, wierzeń, i nietylko wskutek oplatania życia polskiego łańcuchami fizycznego ucisku, zwłaszcza tych żywiołów społecznych, z których strzelało zarzewie powstania i rewolucji, — słowem chodziło nietylko o brzemię obcej, zewnętrznej tyranji, której źródła spoczywały przecież poza duchem narodu, ale stokroć bardziej chodziło o ciężar i grozę tych niebezpieczeństw, które się lęgły wewnątrz osaczonego narodu, które zagrażały rozkładem moralnym, upadkiem wiary i duchowej niezależności, dobrowolnem wyrzeczeniem się praw do własnego, samodziel-

nego bytu, zwiastowały złowrogą możliwość zżycia się i pogodzenia z niewolą.

Nie była to tylko groźba, nisko jak chmura nawisła nad krajem, ale rzeczywistość, biorąca częściowo już w posiadanie społeczeństwo, był to już proces rozwijającej się choroby, proces zakażenia krwi w organizmie narodu, wiązanego silnemi węzłami prawno-gospodarczemi z potęgami państw zaborczych. Wspaniałe widoki dobrobytu i bogacenia się stanowić zaczynały rekompensatę za tracone dobra duchowe, moralne, polityczne. Wskaźnikiem i objawem zewnętrznym rozszerzania się tego procesu zakażenia krwi było branie rozbratu z romantyzmem rewolucyjnym, były szczepionki rodzime trzeźwego wyrachowania i realizmu życiowego, zastrzyki ugody z tyranją, które uśmierzać miały ból, gorączkę i osłabiać jednocześnie przytomność coraz mocniej skuwanego narodu.

Jawnie działające stronnictwa ugody, których godłem były zgięte kolana wobec ciemięzców, hasłem zaś i programem wierna służba przy ich tronach, — przenikały do wnętrza całych odłamów społecznych, biorąc w orbitę swego oddziaływania większą część mieszczaństwa, możnowładztwa i drobnomieszczaństwa. Równolegle zaś olbrzymia masa włościaństwa, sól ziemi, rozpływała się w wdzięczności dla carów — oswobodzicieli, zbawców i dobrodziejów uwłaszczenia. Wzięta pod wytrawną opiekę komisarzy włościańskich, wieś polska powiązana została niewidzialnemi nićmi z obcą przemocą i zwrócona w swej większości duchowo i moralnie przeciw własnemu krajowi, zarażona nieufnością do wszystkiego co polskie, wszystko zaś, co nie mieściło się pod strzechą wiejską, wszystko, co było niechłopskie — przez to samo już było pańskie i płynęło z tych gniazd dworskich, gdzie albo lęgła się irredenta, albo unosiło się widmo i straszydło restauracji pańszczyzny. Jedynym szańcem wyniosłym wolności wśród odmętów bezwładu, bierności i ugody pozostawała inteligencja miejska i wiejska, rwąca się do czynu młodzież akademicka i robotnicy.

W tych środowiskach nie wygasał ogień idealizmu rewolucyjnego, stąd unosił się płomień wolności, gotowość czynienia ofiar z własnego życia i żarliwość pracy nigdy nienagrodzonej. U tego podnóża romantyzmu brała początek wierna rzeka wyzwolenia, której spienione wody szumem swym znać dawały tyranom, że Polska to nie koryto dla rzeki zapomnienia, że prędzej jej żywioł wściekłą falą potoczy się drogą wód Alfeusza, zmywającego stajnię Augjasza, niż spłynie na wiecznie senną taflę hadesowej Lety, że raczej w dziedzinę mitów przejdzie carosławie w Polsce i pakty tajemne, zawierane w lesie szubienic przez małodusznych, mimowolnych kamratów Murawjewa i Berga, Apuchtina i Hurki, niż utrwali się w kraju wykuwane godło zgiętych kolan wiernych poddanych ich Cesarskich Mości.

Zastępy Ludzi Bezdomnych, Syzyfowych Prac, ludzi z Minionych Dni i Jutra to nie przypadki, nie zjawiska tylko w literaturze, — to motyw zbiorowej duszy pokolenia, niepogodzonego z życiem, to treść wierzeń i pragnień, zasilających moc wytrwania i odwagę na dzień powszedni. Pokolenie ludzi, którzy na progu życia dojrzałego wyrzekali się swego własnego życia, widoków własnego szczęścia, którzy właściwie umierali dla siebie, iżby móc żyć dla innych. To było pasmo cichej, bezimiennej ofiary, trwającej lata, wymagającej odwagi życia, niemniej owocnej i ważnej, niż akty odwagi śmierci na polach bitew, wymagającej bohaterstwa w samotności, w pojedynkę, w nieskończoność, uwarunkowanego nadto nietylko przez tężyznę fizyczną, ale bardziej jeszcze przez tężyznę ducha i woli.

Zostawieni sami sobie, musieli też w sobie tylko szukać moralnego oparcia, na siebie liczyć w swych troskach, niebezpieczeństwach, w swych wątpieniach, które spływają na każdego myślącego, czującego i walczącego człowieka. Gdy dziś każdy obywatel państwa ma prawo liczyć na jego obronę, gdy każdy wartownik, który pełni straż graniczną w noc głuchą samotnie i w pojedynkę na rubieżach kraju, czuje jednak przy sobie moralną obecność całego narodu i liczy na jego gotowość obronną, — wówczas jednak każdy bojownik idei, orędownik oświaty, obrońca mowy i wierzeń, kustosz wszystkich dóbr duchowych człowieka wolnego nie czuł przy sobie tej moralnej obecności narodu, przeciwnie był niezrozumiany, wyszydzany, nieraz stawiany w pogardę, ośmieszany jako nieżyciowy człowiek lub manjak, porywający się z motyką na słońce.

Mówiąc o tych zastępach bezimiennych obywateli, mamy na myśli tych wszystkich, którzy od ostatniego powstania do legjonów trwali nieznani na posterunkach ducha i myśli, którzy nie mogąc zżyć się z niewolą, uciskiem i krzywdą zostawiali na wszystkich polach pracy i walki swoje osobiste życie, którzy podtrzymywali wiarę w świt wolności, wiedząc, że sami go nie doczekają, którzy sami z własnych nakazów, własnych popędów wewnętrznych i motywów wzniosłych obejmowali wartę ducha, stawali na czatach przy skarbnicy myśli, mowy i dostojeństwa wolnego człowieka!

Utrwalił się ostatnio zwyczaj oddawania hołdu prochom nieznanego żołnierza. Ale gdy dojrzeje świadomość, ile dziejowej zasługi tkwi w trudzie i poświęceniu bezimiennych bojowników, ile dzisiejsze społeczeństwo zawdzięcza ich cichej, codziennej odwadze i bohaterstwu w czasie niewoli, na niezliczonych pobojowiskach cywilnych, to może ten piękny zwyczaj składania hołdu obejmie także cienie nieznanego obywatela, męczennika idei.

Henryk Lukrec

CELE I ZADANIA WIĘZIENIA

III (dokończenie).*)

Rozważania moje na tematy więzienne przerwał Zjazd Patronatu nad więźniami. Z zaproszenia na Zjazd skorzystałam skwapliwie. Wysłuchałam bardzo interesujących referatów pp. Wiewiórskiej i Wójtowicz-Grabińskiej, Batawji i Dworzaka; referaty w Komisji opieki nad więźniem, w której obradach wzięłam udział, były osobiście dla mnie mniej interesujące. Z referatów na plenum przytoczę tu tylko to, co wiąże się z nicią przewodnią moich rozumowań. Dr. Batawja uzasadnił bardzo poważnie, że idea „niepoprawności" niektórych przestępców sprowadza się do takiego układu warunków zewnętrznych życia ludzkiego, w którym dana jednostka raz po raz popada w popełnianie przestępstwa. Oczywiście, wynika stąd niezbicie, że nietyle by chodziło o poprawia-

*) Patrz n-ry 47 i 48 „Epoki".

nie takiego przestępcy, ile — o poprawianie jego życiowych warunków i okoliczności, jakie otaczają nieszczęśliwych „kapitanów z Koepenick" nazajutrz po wypuszczeniu z więzienia. Jeżeli *Oskar Wilde* potrafił powiedzieć, tak dawno temu, gdy jeszcze nie było kryzysu ustroju kapitalistycznego, ogromnego bezrobocia, straszliwej nędzy miast i wsi, że „głód a nie grzech jest ojcem współczesnej zbrodni", — sądę, że my, ludzie dzisiejszej epoki, powinniśmy przyjść już wreszcie raz do zrozumienia tej prawdy.

P. Wiewiórska w referacie swym opowiedziała o współczesnych kierunkach myśli penitencjarnej, o tej koncepcji, przy której opieka nad więźniami stać się może trzecim czynnikiem wymiaru sprawiedliwości. Niezmiernie doniosłem byłoby rozwinięcie opieki nad więźniami tak dalece, ażeby wyroki sądowe poprzedzał skrupulatny wywiad społeczny o przestępcy, dokonywany w miejscu zamieszkania człowieka i w płaszczyźnie jego stosunków życiowych, zawodowych i społecznych. Naturalnie, że z mego punktu widzenia, takie wywiady, robione sumiennie i gruntownie, powinny prowadzić do zredukowania do minimum liczby wyroków, skazujących na karę więzienia. „Ci, których dziś zwą zbrodniarzami, wogóle nie są zbrodniarzami. Głód a nie grzech jest ojcem współczesnej zbrodni".

A teraz kwestja personelu więzienia...

I ta kwestja otrzymała po zjeździe dodatkowe oświetlenie. W pierwszej chwili — obecność naczelników i funkcjonarjuszy administracji więziennej śród członków Patronatu, śród prezesów oddziałów patronackich w danych ośrodkach, wydała mi się czemś, teoretycznie, tak śmiałem, tak wykraczającem poza wszelkie ustanowione pojęcia o tych stosunkach, że, zdawałoby się, należało szukać poważnego uzasadnienia dla takiej, istotnie gruntownej, inowacji. Ale bliższe przyjrzenie się i przysłuchanie obradom zjazdu, abstrahując już nawet całkiem od posiadanych przezemnie wiadomości o wewnętrznem życiu w niektórych więzieniach, (patrz poprzednie artykuły moje w *Epoce* w tej kwestji) — przekonało mnie o słuszności starej, w tym wypadku, zasady, że *nie można łączyć w jednej osobie czynności funkcjonarjusza administracji więziennej i społecznego opiekuna nad więźniami.* Podkreślić przytem muszę z całym naciskiem, że zasada ta pozostaje słuszną nawet w takim wypadku, gdyby funkcjonarjusze administracji więziennej składali się li tylko z ludzi szlachetnych, dobrych, rozumnych i sprawiedliwych, nie obarczonych żadnemi przywarami i defektami lub nałogami. Niemożliwem jest łączyć urzędowy obowiązek trzymania człowieka w więzieniu (z nieodłącznem — karaniem go za przekraczanie przepisów regulaminu więziennego) ze społeczną czynnością opiekowania się pozbawionym wolności: *w pierwszym wypadku, dla personelu administracji więziennej, objekt urzędowej opieki ani na chwilę nie może przestać być więźniem, — w drugim wypadku — opieki społecznej —nie powinien ani na chwilę przestać być człowiekiem.* Zdawać-by się mogło, że tu idzie tylko o grę słów; że, przecież, nowoczesna myśl penitencjarna widzi w więźniu człowieka i dąży do uczynienia z więzienia miejsca, w którem mogą wytrzymywać żywi ludzie bez konsekwencyj utraty równowagi nerwowej i moralnej... Wszystko to słuszne, ale sam fakt sprawowania władzy i przemocy człowieka nad człowiekiem, choćby usankcjonowanej dokładnem brzmieniem prawa, wyklucza możliwość pełnienia przez tę samą osobę obowiązków opiekuńczo-społecznych w stosunku do więźnia.

Tyle co do łączenia administracji więziennej z pracą patronacką.

Na pytanie, z jakiego elementu werbować należy personel więzienny, można odpowiedzieć kategorycznie zapomocą *metody wyłączania.* Więc przedewszystkiem nie miejsce tu — mojem zdaniem — dla ludzi, którzy zajmowali te stanowiska w więzieniach za czasów zaborcy. Szczególnie stosuje się to do byłego zaboru rosyjskiego, do dawnej administracji więziennej rosyjskiej. Każdy wie, że funkcjonarjuszami więzień a szczególnie — kierownikami, bywał naogół najgorszy element ludzki[1]). Jeżeli dziś, śród naszej administracji więziennej są ludzie z tamtej sfery, uważam to za wielki błąd i za rzecz, niemal przesądzającą, iż więzienie będzie trudne do uzdrowienia w stosunkach wewnętrznych.

Jeżeli natomiast więzienie miałoby się stać instytucją czasowej izolacji skazanych (lub podejrzanych o przestępstwo), — nie zaś instytucją zemsty, odwetu i pokuty, — *to wyższy personel więzienny trzebaby werbować z ludzi wykształconych, zarazem humanitarnych, o silnej etyce[2]).* W poprzednim artykule podawałam już, za Marszałkiem Piłsudskim, że samo pozbawienie wolności jest już dostateczną dla żywego człowieka męką, — nie zachodzi więc potrzeba powiększać jej przez urządzanie mu specjalnie „pokutniczych" warunków pobytu w więzieniu. Tu więc nie mogę się zgodzić z wywodami p. prokuratora Eimera, który początkowo mówił o konieczności dyscyplinowania woli i charakteru więźnia. (P. prokurator Eimer zastrzegł się później, że odnosi to do więźniów kryminalnych jedynie, ale podniósł, że więzienie musi stwarzać *warunki pokuty,* że więzień musi odcierpieć w więzieniu za popełnione przestępstwo).

Przemówienie p. prokuratora Eimera, spotkane z takim aplauzem przez sekretarza Patronatu warszawskiego p. Szczerbińskiego, przekonywa raz jeszcze, że istotnie — rozumieć cel więzienia, pojąć słuszne metody postępowania z więźniami może tylko człowiek, który sam przez czas pewien siedział, *w charakterze więźnia,* w więzieniu.

To też, gdyby wolno było od ludzi, którzy mają za sobą dłuższe więzienie za przestępstwa natury ideowej, żądać, *ażeby się tak dalece chcieli i mogli poświęcić,* — byliby ci ludzie najbardziej na miejscu w charakterze personelu administracji więziennej[3]).

---

[1]) Oczywiście, bywały wyjątki. Tak np. więźniarki polityczne — Polki ufundowały, już w Polsce Niepodległej, mieszkanie dla byłej kierowniczki więzienia kobiecego w Warszawie, Sosnkowskiej, tak dalece ludzkiem było jej postępowanie z więźniami. Jeden z naczelników więzienia w Królestwie samorzutnie zniósł zwyczaj bicia więźniów (kryminalnych). Możliwem jest i to, że gorszy element ludzki spotykał się śród administracji więziennej w Rosji, niż w Polsce pod zaborem, jakkolwiek trudno odnaleźć przyczynę takiej różnicy.

[2]) I nawet w stosunku do takich ludzi — stosować metodę przenoszenia ich co pewien czas (np. co pięć lat) do całkiem innej pracy, poza terenem więzienia: to znaczy, nie skazywać ich na dozgonne psychiczne zrastanie się ze skórą więziennika.

[3]) Tu znów muszę nadmienić, że i od tej zasady, mogą być wyjątki. Można sobie wyobrazić człowieka, który dużo przecierpiał w więzieniu, a w zmienionych warunkach traci zrozumienie dla niedoli więźnia. Sądzę jednak, że takie wypadki byłyby już rzadkie.

Jeżeli wypowiedziałam w Komisji opieki nad więźniami zdanie, że Patronat powinien wydać oddzielną odbitkę „Psychologji więźnia" Józefa Piłsudskiego dla użytku równie pracowników Patronatu, jak personelu administracyjnego, nie były to z mej strony puste słowa i napewno najmniej zasługiwały na okrzyk: „bolszewiczka"! (niestety, taki okrzyk półgłośny padł z ust jednego z panów, obecnych na zebraniu Komisji). Istotnie, dochodzę do przekonania, że odpowiedzialnie, rozumnie i humanitarnie potrafiliby pełnić funkcje naczelnika więzienia ci ludzie, *którzy na własnej skórze (fizycznie i psychicznie) doznali całej treści więzienia.*

Rzecz inna, że osobiście, gdybym się znalazła w przymusowej sytuacji pełnienia tej czynności, wolałabym chyba śmierć.

Na zakończenie tego cyklu artykułów o sprawach więziennych dodam parę słów natury „polemicznej". Na Zjeździe pracowników opieki nad więźniami stwierdziłam, że nikt nie czytał moich artykułów w „Epoce" na temat więzienia. Byłam tem istotnie zdumiona, bo skądinąd — dużo osób ze Zjazdu czytało inne moje artykuły *w tej samej Epoce, w Kurjerze Porannym, w Kobiecie Współczesnej,* — artykuły o kwestjach kobiecych, bezrobociu, rodzinie, macierzyństwie...

Wyjaśniło mi tę okoliczność powiedzenie pewnej znajomej osoby, że, — „mówią prawnicy, piszą o więziennych sprawach, a nie znają się na tem..."

Niesłychanie interesujące zjawisko: takie „monopole" na zagadnienia, sięgające wgłąb duszy ludzkiej, w krew i w mękę ludzką, wgłąb najżywszych spraw społecznych!

Trzeba te rzeczy wyraźnie rozgraniczyć i mocno się odciąć od sugestji monopolu na zagadnienia społeczne. Żadne prawnicze wykształcenie nie pokrywa się bynajmniej tem samem ze znajomością stosunków więziennych. Kunszt wystudjowania takiego czy innego kompleksu przepisów prawnych jest dużo łatwiejszy do osiągnięcia, niż pozyskanie istotnej wiedzy o życiu więźnia od środka, od strony własnych więziennych przeżyć. Bowiem ten pierwszy kunszt osiąga się w drodze kilkumiesięcznej roboty pamięciowej w normalnych warunkach życia, ten drugi zdobywa się istotnem cierpieniem, upośledzeniem człowieka w jego najbardziej żywotnych cechach ludzkich. Płaszczyzna, w której zadałam sobie trud potraktowania sprawy więźniów politycznych, więźniów epoki „kryzysowej", celów i zadań więzienia, wymagała stażu tego drugiego kunsztu; fakt, że poznałam przytem przepisy, dotyczące więzienia, trochę literatury w tych sprawach, jest już tu rzeczą *raczej drugorzędną.*

Gdyby na Zjeździe było więcej reprezentantów tego „drugiego kunsztu" — tego *stażu więźniarskiego,* — niewątpliwie Zjazd Patronatu wystąpiłby do miarodajnych czynników z wnioskiem o wydanie odrębnych przepisów dla więźniów ideowych, gdyż całkiem inne są metody ich życia, myślenia i metody postępowania z nimi; niewątpliwie Zjazd zwróciłby się z prośbą o częstsze wypowiadanie się w sprawach opieki nad więźniem do p. *Stefanji Sempołowskiej:* była bowiem, jest i pozostanie w opinji pokolenia, które walczyło o wyzwolenie Polski, *symbolem* najlepszej, ludzkiej, subtelnej opieki, w którą p. Sempołowska umiała włożyć całe swe życie, serce, sumienie i ból.

Halina Krahelska

ODGŁOSY

TRZY OPINJE O J. BUNINIE

Nouvelle Revue Française pisze:

...Zdaje się, że autor „Pana z San Francisco" jest już dziś jednym z ostatnich reprezentantów „czystej literatury". Wielu autorów sowieckich czerpało naukę u tego „wroga klasowego". Uczyli się jego wspaniałej wirtuozji formalnej i wspaniałego mistrzostwa słowa.

Jest jeszcze pewna cecha w twórczości Bunina, jemu tylko właściwa, którą trudno odnaleźć w równie natężonym stopniu: Bunin dociera do wnętrza zjawisk i spraw, obnaża rdzeń życia w sposób organiczny. Pod tym względem Bunin jest antypodem Dostojewskiego i zbliża się do Tołstoja, nie do Tołstoja — moralisty i myśliciela religijnego, lecz Tołstoja, autora „Kozaków" — wielkiego poganina. Mimo pokus tego świata zmysłowego, silna miłość jaką darzy go Bunin niepozbawiona jest cierpkiego smaku. Bunin nie naucza, nie prawi nigdy kazań. Jego twórczość jest całkowicie areligijna i amoralna. Chcąc w niej jednak ujawnić pewną filozofję, odkrywa się przedewszystkiem u Bunina postawę Eklezjasty.

W *Monde* czytamy:

...Rok 1905. Wówczas nawet Balmont stanął po stronie rewolucji. Jury Akademji nie nagrodziło symbolisty, lecz poetę epigona, arystokratę, który z głębi swego dworu obserwował zimnem spojrzeniem jesień w naturze, by ją opisać zgodnie z wszelkiemi regułami klasycznemi.

Zadebiutował zbiorem opowiadań: „Wieś". Jestto jedyna książka Bunina, która, choć daleka od doskonałości formy, posiada pewne znaczenie i sens społeczny. Ukazuje chłopa, jego okrutne zwyczaje i egoizm narodowy. Dziś powiedzianoby, że demaskuje „kułaka". Według liberalnych ludowców, książka ta była kalumnją. Docenili ją zaś ci, którzy wraz z Gorkijem już wówczas zrozumieli, że „kułak" będzie najgroźniejszem niebezpieczeństwem rewolucji.

Autor nie opowiedział się ani za opinją jednych, ani — drugich. Pozostał godnym ziemianinem, który zbliżył się w swej książce do mużyka — jako wielki pan, odmawiając mu ludzkiej godności, by tem usprawiedliwić jego wyzyskiwanie.

New Republic (New York) daje charakterystykę następującą:

Wieść o przyznaniu przez Akademję Szwedzką nagrody Nobla wydała się chyba Buninowi naturalnem i konsekwentnem ukoronowaniem jego długiej karjery laureata. Bunin posiada szczególne szczęście do nagród. Od czasu, gdy pierwszy jego tom poezyj (1901) odznaczono nagrodą Puszkina, najwyższem odznaczeniem Akademji Rosyjskiej, Bunin otrzymał zkolei wiele nagród literackich; w 1909 został mianowany przez Akademję Rosyjską jednym z dwunastu akademików honorowych, do których należał również Tołstoj. Bunin, który nie był ani rewolucjonistą, ani nowatorem, zarówno w poezji, jak w prozie przestrzegał tradycji realizmu rosyjskiego i stworzył w ramach tej tradycji dzieła z punktu widzenia artystycznego — nieskazitelne.

Jego proza jest bogatsza od Czechowa, lecz nie posiada jej ciepła i humoru. Chociaż wielekroć nazy-

wano Bunina największym zpośród żyjących pisarzem rosyjskim, nie mógł on osiągnąć szerszej popularności w kraju ani zagranicą. Dość ograniczona popularność w Rosji zgasła po rewolucji, gdy Bunin uciekł i stał się jednym z najzacieklejszych, kontrrewolucyjnych emigrantów. Dla stale wzrastających rzesz czytelniczych nowej Rosji nieznane nawet staje się nazwisko Bunina.

Z pokolenia Bunina, jedynie Gorkij pozostał żywotną i żywą postacią literatury rosyjskiej. Inni, jak np. Bunin stracili żywy związek z glebą, z której czerpali swe tworzywo artystyczne".

REZULTATY „CZYSTKI"

Prasa Leningradu ogłasza rezultaty „czystki" partyjnej w tem mieście. Do dnia 1 listopada 159.361 komunistów, co stanowi 78% ogólnej liczby członków partji w Leningradzie — zostało „zbadanych" przez rejonowe komisje egzaminacyjne.

91.247-iu uznano za „czystych" i zatwierdzono ich obecne stanowiska urzędowe: 72.131 członków partji i 19.296 kandydatów.

Wykluczono 10.561 osób (6.830 członków i 3.731 kandydatów). Pozostałych zdegradowano: członków na kandydatów, a kandydatów na sympatyków partyjnych.

Według relacji oficjalnego organu Woroszyłowa, *Krasnaja Zwiezda*, „czystka" wykazała „wysoki i nieskażony oportunizmem poziom czerwonej armji, z której nie wykluczono ani jednego członka partji. Żołnierze sowieccy to — naczystsi wśród czystych".

PSYCHOLOGICZNA ŻEBRANINA

Znamy ich wszyscy. Zna ich każde wielkie miasto. Dość przejść po ulicach, zwłaszcza w godzinach wzmożonego ruchu, dość poprowadzić wzrokiem pod ścianami kamienic, by ich zobaczyć, a czasem by ich zapamiętać na długo.

Oto obok wielkiej luksusowej witryny sklepowej w pozycji pół-siedzącej, pół-leżącej skamieniała i trwa nieruchomo — niby Niobe — w bólu postać kobiety, karmiącej zawinięte w łachmany dziecko; obok niej leży na chodniku jeszcze jedno i drugie — większe. Oto dalej stoi pod ścianą brodacz — ojciec, trzymający na ręku jedno dziecko, obok niego stoi jeszcze dwoje czy troje; na piersiach przywieszoną ma tabliczkę, oznajmiającą przechodniom niezdarnie pisanemi literami, że takich dzieci ma aż dziewięcioro. A tam, przy przystanku tramwajowym, zaczepia przechodniów, wyciągając do nich rękę, jakaś babina czy o inteligentnej twarzy mężczyzna. Dalej znowu ktoś gra na skrzypcach, ktoś śpiewa, ktoś płaczliwie zawodzi, ktoś półnagi drży przeraźliwie z zimna, ktoś wielkiem milczeniem woła ku przechodniom kikutami rąk i nóg, ktoś — trzymając w ręce blaszane pudełko — patrzy w ulicę pustemi oczodołami.

Nieskończona galerja typów żebraków ulicznych! Żebracy — to świetni psychologowie. Jakże doskonale umieją operować niezawodnemi efektami i przeróżnemi „posunięciami", ujarzmiającemi w pożądany sposób ulicznego przechodnia!

Na jednej z pierwszorzędnych arteryj ruchu ulicznego, we wnęce bramy gra na skrzypcach przyzwoicie ubrany, w dobrze zaprasowanych spodniach, szpakowaty, wystrzyżony i wygolony zawsze dokładnie mężczyzna. Gra z wielką wprawą i wielkiem uczuciem nie jakieś dancingowe szlagiery, ale poważne i trudne utwory skrzypcowe. W przerwach dystyngowanym ruchem wyjmuje z tylnej kieszeni spodni niby srebrną papierośnicę — pali. I znowu zaczyna grać. Przechodnie wciskają mu do ręki jałmużnę, za co dziękuje pełnem godności skinieniem głowy.

Na innej ulicy znany, popularny typ. Siwobrody dziadek-łachmaniarz w czarnych okularach na minjaturowych skrzypeczkach dziecinnych o dwóch strunach rzępoli coś, czego nikt nie potrafi zrozumieć. On też „gra". I mały kilkuletni chłopak ze swym o parę lat starszym bratem także wygrywa na skrzypcach przy braterskim akompanjamencie gitary.

Czy trzej muzykanci, te trzy typy wielkomiejskich żebraków, nie wykorzystali znakomicie wrażliwości przechodniów? Jeden zręcznie operuje swą tragedją, dobrze wychowanego, o wytwornych niemal manjerach inteligenta; drugi — starczem niedołęstwem i rozbrajającą naiwnością; trzeci — możliwością istnienia w nim ukrytych talentów „cudownego dziecka". Ale wszystkim im nie brak szybkiej orjentacji w czułych strunach nietyle skrzypiec, ile uczuć litościwego przechodnia, nie brak im umiejętności wygrywania nie tyle melodji, ile będących w ich rękach żebrackich atutów.

Albo taki rzadko może jeszcze spotykany ze względu na nowatorstwo pomysłu typ: stoi pod ścianą, kołnierzem od palta zakrył całą twarz — niewiadomo, czy to młodzieniec czy starzec. Przechodzień mógłby przejść obok niego obojętnie, gdyby nie zatrzymała go przy tym żebraku refleksja: oto jest człowiek, który naprawdę wstydzi się żebrać — jakże nie przyjść takiemu z pomocą!

Albo ten młody śpiewak uliczny (nie podwórzowy, ale uliczny), śpiewający wcale poprawnie po włosku znaną arję „La donna e mobile". Czy to właśnie, że śpiewa po włosku i że jest całkiem porządnie ubrany — czy to nie dowód umiejętnego wygrywania znajomości duszy przechodnia? A to tragiczne milczenie jednych, płaczliwe zawodzenie innych, natrętne i prześladowcze narzucanie się upatrzonej ofierze jeszcze innych — czy to nie świadczy o tem, że ci żebracy to znakomici psychologowie?

Wielkie miasta toczą z żebractwem walkę i uciekają się do rozmaitych środków i półśrodków, by zapobiec mu jako jednej z plag wielkomiejskich. Jest w tem zapewne wiele słuszności i wielkim byłby społeczny triumf miast, gdyby potrafiły, usuwając żebraków z ulicy, dać im schronisko i umożliwić egzystencję nie na ulicy. Ale i tym żebrakom trzeba oddać to, co im się słusznie należy: trzeba im przyznać taką znajomość psychologji, jaką zarządy wielkich miast niezawsze poszczycić się mogą.

***

Tak czy owak — nieszczęśliwi ludzie. A że nieszczęście ludzkie coraz mniejsze wywiera wrażenie, muszą grać, urządzać teatr tragiczny na ulicy. Bo wiedzą, że przechodnie bardziej są wrażliwi na oryginalne, teatralne efekty niedoli, niż na niedolę samą. W ten sposób *ułatwiają* przechodniowi coraz trudniejszą reakcję dobroci serca...

To też ich gra charakteryzuje zarazem przechodnia...

Zygmunt Michałowski

LIST OTWARTY DO PANA JÓZEFA WASOWSKIEGO, REDAKTORA „EPOKI".

Wielce Szanowny i Drogi Panie Józefie!

Wśród rozgardjaszu zdarzeń, w chaosie idei i idejek, w obliczu patosu stawania się nowego jutra zakładał Pan nowe pismo tygodniowe. Nazwisko Pana, Panie Józefie, mówiło, że tygodnik zarówno swoim tonem, jak powagą myśli społecznej będzie odbijał od zgiełkowej, a pustej prasy — od tego kramikarstwa ideowego, tak, niestety, dziś rozpowszechnionego i tak krzykliwie zachwalającego swoje rzekomo wyłączne recepty na zbawienie ludzkości i Polski.

Tworzył Pan „Epokę" z przeświadczeniem, że wśród zawichrzeń współczesnych nie może zabraknąć głosu niezależnego, a czujnego na jednostkową i społeczną krzywdę człowieka.

Słuszność była po Pana stronie!...

Świat się przekształca. Z szybkością wzbierających lawin rodzą się i rozwijają nowe kierunki myśli i idei społecznych, politycznych, narodowych... Z niemałem zdumieniem widzimy, że w wielu krajach europejskich istnieje demokracja „na wywrót". Masy, otumanione łatwym frazesem, wydźwigają na czoło państwa reżyserów terroru, a same popadają zczasem w zupełną od nich zależność.

Wspólną cechą takich państw jest to, że zapominają o *człowieku*, jako takim, zapoznając w zupełności jego wartość, jako istoty rozumnej i czującej. Zewsząd dochodzą nas wieści o mordowaniu przeciwników, znęcaniu się nad nimi, szarganiu człowieczeństwa, rozpętaniu okrucieństw i sadyzmu... Współczucie straciło dziś swą wartość — o litości mówi się z przekąsem jako o przesądzie przedwojennego konserwatyzmu. Dzięki Panu, Panie Józefie, rozbrzmiewał przez cały czas istnienia „Epoki" głos w obronie tej zapoznanej dzisiaj, a jedynie prawdziwej wartości, jaką jest człowiek, jako jednostka i jako członek społeczeństwa.

Wprzągłszy się w służbę najszerzej pojętej idei humanitarnej, budził Pan wiarę, że bestjalstwo przeminie i że nadejdą czasy, w których zacznie rządzić rozum, a zamiast krzywdy zapanuje sprawiedliwość. Przemawiał Pan nie do niskich instynktów czytelnika, lecz do jego inteligencji, nie dostarczał mu Pan dreszczyka lekkich emocyj, lecz pobudzał intelekt. Dzień, w którym wychodziła „Epoka", był nietylko dniem zaczerpnięcia otuchy, ale również momentem wytchnienia od dziennikarskiej plotki i zanurzenia się w poważne problemy społeczne, polityczne i kulturalne doby współczesnej.

Dziś ukazuje się już ostatni, niestety, numer „Epoki".

Zgodnie z Pana optymizmem, pocieszmy się, że pismo zabiły nieszczęsne warunki ekonomiczne, lecz nie brak ludzi, spragnionych poważnej i humanitarnej myśli, i że przerwa w wydawaniu potrwa niedługo. Wierzmy również, że choć „Epoka" istniała stosunkowo krótko — spełniła jednak swe zadanie, rzucając posiew, z którego zczasem wzejdą plony.

Tyle jako czytelnik.

Jako współpracownikowi wypada mi tylko podziękować Panu, Panie Józefie, za ten pełen przychylności stosunek do nas młodych, początkujących publicystów i autorów, wyrazić wdzięczność za Pana krytykę zawsze rozumną i dokładną, oraz za wymagania surowe, ale jakże słuszne! Miało to tem większe znaczenie, że w czasach, gdy większość publicystów ubiera swą ubogą myśl w świecidełka stylistyczne, napuszoność i niezrozumialstwo, Pan, Panie Józefie, zawsze wymagał jasności i przejrzystości, stawiając je słusznie, jako naczelną i konieczną zaletę publicysty.

Jan Waśniewski

NIEDOBRE OBYCZAJE

SCENKI Z UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Ostatnie zmiany w szkolnictwie ogarnęły całe nauczanie w państwie, nie wyłączając studjów wyższych. Zmieniając ideologiczne i zasadnicze podstawy bytu wyższych uczelni, nie pomyślano o rzeczach niemniej ważnych, lecz ukrytych, niedostrzegalnych dla ludzi, stojących poza uniwersytetami.

Student, który zapisuje się na pierwszy rok jakiegoś studjum, przebrnąwszy przez wstępne formalności, takie, jak wyczekiwanie godzinami przy szeregu okienek, wyszukiwanie swego nazwiska w milowych spisach, oddycha wreszcie z ulgą, otrzymawszy swoje „papiery" i jest przekonany, że przebył najgorsze. Niestety, to dopiero początek. Podpisywanie indeksów jest drugim etapem katorgi. Traci na tem poziom wykładów, ponieważ ich słuchanie jest niemożliwe pośród tłumu osób, dla których niema miejsc w ciasnych audytorjach (zwykle połowa nie przychodzi, chyba właśnie po podpis) i oczywiście dla profesora nie stanowi przyjemnego zajęcia, jeżeli zapisanych słuchaczy liczy się na setki... A przecież wszystko to możnaby załatwić w sposób daleko prostszy, co więcej, praktykowany już na innych uniwersytetach, gdzie np., przynajmniej w tym roku, student już nie wystaje w ciasnych korytarzach, aby poszukać swego nazwiska na liście przyjętych, tylko poprostu spokojnie czeka zawiadomienia w domu. Co do indeksów zaś, nikt nie wątpi, że podpisy profesorów przy setkach słuchaczy są czystą formalnością; należałoby je zachować na ćwiczeniach i seminarjach, gdzie chodzi o osobistą współpracę słuchacza, a gdzieindziej — poprostu znieść.

Wykłady stanowią najważniejszą część studjów. Nikt oczywiście nie wymaga, aby profesor wyłożył wszystko to, z czego będzie egzaminował: — student ma nauczyć się samodzielnych dociekań, a zresztą byłoby to technicznie niemożliwe przy krótkości roku akademickiego, przerywanego jeszcze nadprogramowemi urlopami. Wszelako od profesora można i trzeba wymagać, aby w warunkach normalnych, t. zn. jeżeli wykłada cały rok bez nadzwyczajnych urlopów z powodu choroby, wyjazdu, czy zajęć politycznych i t. p., starał się przerobić i pogłębić cały zamierzony materjał.

Tymczasem profesorów prawdziwie sumiennych jest bardzo mało, przeważnie są to ludzie głęboko uczeni, ale pogrążeni w gnuśności, w poczuciu wielkości swego nazwiska, od wielu lat nie ogłaszający żadnych prac naukowych. Ileż może korzystać student z takich wykładów, które nie wychodzą poza treść skryptu, wydanego przed laty przez studentów, a nawet wiele kwestyj traktują znacznie powierzchowniej, niż skrypt, niektórych ważnych zupełnie nie poruszają? W jakiem położeniu jest student, jeżeli nadto profesor w rezultacie wygłosi przez cały rok jedną trzecią, przypuśćmy, tego co wygłosić zamierzał? Zapewne, są pozatem dzieła naukowe i podręczniki, napisane przez innych profesorów. Lecz jak poważne nieraz bywają różnice zdań kilku profesorów, co do jednego przedmiotu, nawet z dziedziny wiedzy technicznej! Wszystko to ma ten skutek, że słuchacz staje do egzaminu zdezorjentowany po przeczytaniu dostępnej ilości podręczników i dzieł

naukowych, pozbawiony metodycznych wskazówek profesora, któreby mu pozwoliły wybrnąć z chaosu. Oczywiście, z tej niedość jasnej sytuacji, wynikają niezawsze miłe i oczekiwane skutki.

Stanąłem i ja do egzaminu, z przeświadczeniem, że sumiennie zrobiłem, co do mnie należało. Pomińmy już tutaj znowu względy natury praktycznej: oczekiwaliśmy godzinami naszej kolei, w zadymionej papierosami sieni, otoczeni rojem kolegów i studentów spryciarzy, wypytujących skwapliwie: „O co pytał?" Jasna rzecz, że nie wpływa to uspokajająco na system nerwowy, ale oczywiście nikomu do głowy nie przyjdzie, że student przed egzaminem tak samo zasługuje na schludną i odosobnioną od gawiedzi poczekalnię, jak pacjent przed badaniem lekarskiem, lub artysta przed publicznym występem. Wchodzimy, wymieniamy nazwiska, siadamy; jest nas pięciu, ja przypadam jako drugi. Przedemną męczy się jakiś student, profesor się irytuje. Już to peszy nieco na wstępie, ale człowiek tężeje w niemem oczekiwaniu i postanawia przetrwać mimo wszystko. Teraz ja. Odpowiadam swobodnie, płynnie, ale nie kończę. Profesor przerywa, czuję, że źle. Nie wiedziałem, że ten profesor nie lubi szybkich, zdecydowanych, płynnych i (szczególnie) długich odpowiedzi. Uważa to za „megalomanję" i nie spocznie, dopóki nie wykaże kandydatowi jego głupoty i zarozumiałości. Sposób „wykazywania" jest naiwny, lecz przytem brutalny, przy akompanjamencie takich powiedzeń, jak „poco pan tu przyszedł, pan się systematycznie wygłupia, pan się wykuł napamięć, pan nic nie rozumie etc." Należy to jeszcze do „najłaskawszych" wyrażeń słownika tego pana. Zahaczanie, podrywanie wypowiadanych przez studenta opinij jest przeprowadzane konsekwentnie. Jako przykład może posłużyć oburzenie profesora na wypowiedziane zdanie, że „panowała wtedy t. zw. „dyarchja", ponieważ władzę posiadały dwa czynniki". Co, panowała? dyarchja nie jest kobietą, żeby mogła panować!

Na drugi dzień rano dowiaduję się o wyniku. Dlaczego dopiero na drugi dzień rano? — budzi się refleksja u każdego rozsądnego człowieka. Zobaczymy. Jestto ważne dlatego, ponieważ egzamin ten zdaje się u trzech profesorów, a wynik ustala, jako wypadkową trzech rezultatów, przewodniczący komisji egzaminacyjnej wieczorem, po przepytaniu wszystkich kandydatów. Czułem, że u pierwszego profesora nie zdałem, lub zdałem bardzo słabo, natomiast bezpośrednio potem zdawałem u następnego profesora i zdałem bardzo dobrze, podobnie u trzeciego wszystko poszło gładko. Wnioskowałem stąd, że odbędzie się po egzaminach jakaś wspólna konferencja porozumiewawcza co do stopni i wyników i że tamci panowie wpłyną na pierwszego, abym dostał wynik dobry, przynajmniej dostateczny. Tymczasem okazało się, że żadnej konferencji niema, lecz każdy wypisuje swoje, a urzędnik nazajutrz wypowiada studentom wynik ogólny, stosujący się do najgorszego stopnia. Dostałem poprawkę z tego właśnie, słabego przedmiotu. O innych ocenach nie dowiedziałem się, ponieważ, jak zapewniano mnie w sekretarjacie, stanowi to „tajemnicę protokułu"! Słyszałem już niejedno o ocenach i ich systemach, wiem że oficer, że urzędnik państwowy, że nauczyciel ma tajną ocenę, której naogół nie zna, choć ma prawo domagać się jej przedłożenia (jeśli tego zażąda, wówczas prowadzi się podwójny system ocen). Ale człowiek ze zdrowym rozsądkiem nigdy chyba nie słyszał, że istnieje instytucja, która z wyników egzaminu robi tajemnicę protokułu!

Nadszedł termin poprawkowego egzaminu. Egzamin sam był mniejwięcej powtórzeniem tamtego z przed dwóch miesięcy. Zakończył się pomyślnie. Wyniosłem jednak zeń jedno nowe doświadczenie: stwierdziłem, że musiałem dopiero zapisać się na uniwersytet, aby usłyszeć stek ordynarnych, najbardziej niekulturalnych wyzwisk, z ust — naukowej sławy. Ze względów zrozumiałych piszę to anonimowo, ale nazwisko moje wiadome jest redakcji i gotów jestem przyjąć pełną odpowiedzialność za to, co tu napisałem. Nikt nigdy do mnie nie zwracał się w ten sposób, jak ów profesor: — Poco wy tu przychodzicie? Taki materjał! Dla takiego materjału utrzymywać uniwersytet? Zamknąć uniwersytet, zamknąć wszystko! Nikogo nie puścić! Wy chcecie tylko dostać, dostać, dostać ten stopień, to wam jest potrzebne, bo wy chcecie dostać posadę, was tu nic nie interesuje! Pan jest głupi osioł! Pan nie ma pojęcia! Wy lecicie, jak owce na trawę, jesteście skończone bydło, wypuszczone na pastwisko! Przecież żak szkolny lepiej to odpowie, człowiek, mający pięć zdrowych zmysłów, to powie, a pan nie ma pojęcia, bo pan jest skończony idjota! Chamstwo bezczelne! Hołota! — ostatnie słowa już ciszej, pod nosem. Gdy przyszła kolej na mnie, zastosowałem wszystkie prawidła gry aktorskiej: mówiłem z wielkim wysiłkiem, jakby ta wiedza przerastała góry; tam, gdzie należało powiedzieć zdań dziesięć, mówiłem dwa, ze spuszczonemi oczyma, lub ponuro zagapiony w sufit, a przy końcu zdania, ośmielając się spojrzeć w oczy wielmożności. Pomogło, dostałem tylko trzy łatwe pytanie, egzamin trwał pięć minut, nie byłem „megalomanem". „Widzę, że pan to przemyślał" — wyrokuje profesor. Zdałem.

M. B.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

CO SŁYCHAĆ W LESIE?

Chyba niema dziecka, któreby nie lubiło lasu. Dla jednych dzieci jest to miejsce odświętnych wycieczek, miejsce do rozkosznego wyżycia się, wybiegania, wykrzyczenia, zobaczenia rzeczy ciekawych i niezwykłych. Dla innych — miejsce codziennych spacerów, oglądania po wiele razy tych samych miejsc, podpatrywania różnych przejawów swoistego życia leśnego. Jeszcze dla innych — miejsce ich pracy — zbierania jagód i grzybów na sprzedaż, chróstu na opał, pilnowania wreszcie pasącego się bydła.

Opowiadania leśne O. Lisowskiej[1]), będą dla wszystkich ciekawe. Te dzieci, dla których las jest miejscem odświętnych wycieczek, dowiedzą się o ciężkim trudzie zdobywania pożywienia przez wilki, o miłości żmiji do swoich dzieci, o łagodności i pożytku węża, o sieroctwie sarenek i przywiązaniu do dzieci, opiekujących się niemi.

Te zaś, które mają las na codzień, będą miały sposobność wejrzenia w duszę lasu. Przeczytane opowiadania mogą im przypomnieć ich własne spostrzeżenia i przygody. A przypomnienie takie, to zobaczenie wszędzie dokoła siebie uczuć i trosk, podob-

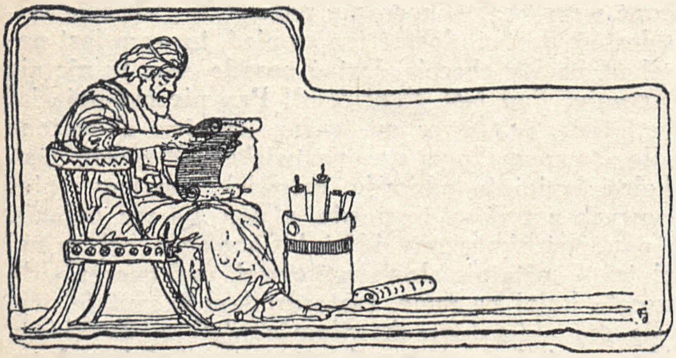
[1]) *O. Lisowska:* Co słychać w lesie? Opowiadania dla dzieci. Warszawa, 1933 r.

nych do ludzkich, to budzenie współczucia i zrozumienia dla wszystkich stworzeń żywych.

Opowiadań leśnych mamy tu cztery. Ta ilość wystarcza, aby dziecko mogło je przemyśleć i przeżyć. Taka ilość jednocześnie mówi, że to tylko pewne fragmenty życia leśnego, że to życie jest znacznie bogatsze, i trzeba poszukać innych książek o podobnej treści. Książka p. Lisowskiej pociągnąć może za sobą inne, zbliżyć dzieci do książki wogóle.

Starannie opracowana i ładnie wydana, książka „Co słychać w lesie?" powinna być miłym podarunkiem gwiazdkowym dla dzieci i pożytecznym pomocnikiem w szkole dla nauczyciela, pragnącego pobudzić dzieci do obserwacji otaczającego nas życia.

Al. Dargielowa



DWA OPOWIADANIA IWANA BUNINA

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Lato. Posiadłość w leśnym rejonie wschodniej Rosji. Deszcz pada od rana; świeże krople bez przerwy uderzają o dach. W zacisznym domu jest ponuro i smutno, a muchy uśpione czernią się na suficie.

W ogrodzie wilgotne drzewa z uległością uginają się pod ruchomą strugą wody; pod werandą klomb kwiatów płonie czerwienią. Ponad ogrodem niespokojny bocian rysuje się na tle zachmurzonego nieba: wychudzony, zczerniały, z podwiniętym ogonem i zmokłemi, zwiotczałemi skrzydłami stoi nad gniazdem, na szczycie stuletniej brzozy, wśród nagich gałęzi. Zdziwiony i oburzony, kołysze się od czasu do czasu, twardo uderzając dziobem: „Niesłychane! Potop, istny potop!"

O godzinie czwartej popołudniu deszcz stał się przezroczysty. Ustawał. W korytarzu zapalono samowar i wonny zapach rozszedł się po całym domu. O zachodzie słońca niebo rozjaśniło się. Spokój. Cisza. Gospodarze wraz z gośćmi udają się na przechadzkę do sosnowego lasu. Powoli zapada niebieski zmierzch. Ścieżki, zjeżone igliwiem sosnowem, są wilgotne i elastyczne. Las jest przejrzysty i pachnie żywicą. Echo odległego głosu — wołania rozbrzmiewa odpowiedzią ze wszystkich stron. Las wznosi się czarny, majestatyczny, ogromny. Drzewa, z których będą maszty niedosiężne, są nagie, gładkie, czerwone na szczytach, niżej — szare, chropowate, okryte mchem, a wdole — zlewają się jedno z drugiem. Z mchu, sęków zgniłych, z zarośli pełnych pleśni zwisają płaty zielonawe, fantastyczne zjawy. To dzika, odwieczna dżungla rosyjska. Gdy wkracza się w jasność, młode drzewo sosny raduje wzrok: czaruje jasnemi tonami barw, mocną zielenią. Krągłe krople niby gwiazdy wodne okrywają gałęzie: kościelne świeczniki pod srebrzystym muślinem.

Tego wieczoru, mały uczeń Szkoły Wojskowej wraz z psem wyprzedzają towarzystwo. Bawią się podczas ciągłej gonitwy. Młoda dziewczyna, w pełni dojrzewania, o zbyt długich rękach i nogach, ubrana w lekki płaszczyk o kwadratowym deseniu, również wyprzedza inne osoby. Lecz kroki jej są starannie zgrabne, z pozoru stateczne, poważne. Starsi uśmiechają się. Znają tajemnicę gorączkowej zabawy chłopca. Zna ją również dziewczyna, dumna i zadowolona, zachowująca jednak pozory doskonałej niewiedzy i obojętności.

ROMANS GARBATEGO

Garbusek otrzymał list:

„Niech pan przyjdzie 12-ego kwietnia o godzinie siódmej na Plac Katedralny. Jestem młoda, bogata i — czemuż to taić — kocham pana. Śledzę od dłuższego czasu pańską postać, spojrzenie smutne i dumne, czoło szlachetne i mądre, pańską samotność... Wierzę, że znajdzie pan we mnie bratnią duszę... Rozpozna mię pan po ciemno-szarej zarzutce, jedwabnej parasolce w lewej ręce i pęku fiołków, który będę trzymała w prawej ręce..."

Był to pierwszy list miłosny w jego życiu. Był wstrząśnięty i z niepokojem oczekiwał końca tygodnia. W sobotę, już wczesnego rana, był u fryzjera, kupił trzewiki, rękawiczki, krawat. W domu, przed lustrem powielekroć związywał i rozwiązywał węzeł krawatu, a długie jego palce drżały ze wzruszenia. Krew, krążąca pod delikatną, cienką skórą, zabarwiła policzki, a piękne oczy coraz silniej ciemniały.... Potem usiadł na fotelu, odnosząc wrażenie, że składa sam sobie wizytę i oczekiwał oznaczonej godziny. Wreszcie zegar ścienny wydzwonił pół do siódmej uroczyście i niemal groźnie. Wstał bez pośpiechu, włożył w przedpokoju płaszcz, jasny kapelusz, wziął rękawiczki, laskę i wyszedł z godnością. Na ulicy nie mógł już opanować się. Stawiał kroki przyśpieszone i wydłużone. Tylko garb zachował właściwą mu, wyzywającą ociężałość.

Garbus drżał wewnętrznie, owładnięty niepewnością i bojaźnią, które są w nas zawsze przedsmakiem szczęścia.

Lecz, przybywszy na oznaczone miejsce w pobliżu katedry, zatrzymał się nagle, jak skamieniały: w łagodnej czerwieni światła zachodzącego słońca letniego, w ciemno-szarej zarzutce, z parasolką w lewej ręce i pękiem fiołków w prawej — zbliżała się doń garbata pani, tym samym — szybkim, ale ciężkim krokiem.



PRZEGLĄD POLITYCZNY

Na zakończenie 1933 roku jeden z wybitnych mężów stanu Europy, p. Madariaga, delegat Hiszpanji do Ligi Narodów, znany ze swoich prac w dziedzinie rozbrojenia moralnego — ogłosił studjum o sytuacji na świecie. Wysuwa tam tezę, że Europa ogarnięta jest anarchją zarówno gospodarczą, jak polityczną. Bijącym w oczy przykładem anarchji ekonomicznej jest stan rzeczy, przy którym wszystkie państwa usiłują się odgrodzić w autarchji, t. j. samowystarczalności gospodarczej wówczas właśnie, gdy współzależność poszczególnych organizmów wzrasta. W rezultacie, zamiast autarchji, mającej zastąpić wolny handel, wracamy do handlu wymiennego z okresu nieomal przedpotopowego: świnie i ludzi wywozi się wzamian za manufakturę, albo węgiel za winogrona. Każdy stara się mieć dodatni bilans handlowy w stosunku do kontrahenta, a przecież wszyscy nie mogą mieć bilansów dodatnich, w najlepszym razie tranzakcje te muszą kończyć się na zerze.

O tem p. Madariaga nie pisze, ale jest to wniosek jasny dla każdego, że „planowa działalność" wszystkich rządów sprowadza się w tych warunkach do absurdu. Albo wszyscy wyrzekną się „dodatniości" bilansów i będą wzajemnie wymieniać to, czego jednemu brakuje, a czego drugi ma nadmiar, albo wszyscy wzajemnie będą „naciągać się" na zdobycie fetysza plusu w bilansie handlowym, bo ten fetysz ma ze swej strony nakarmić bożyszcze dodatniego bilansu płatniczego danego kraju.

Na wzajemnem naciąganiu i krzywdzie nie mogą być oparte stosunki normalne między państwami *i* narodami.

Nic też dziwnego, że anarchja gospodarcza rodzi anarchję polityczną w stosunkach międzynarodowych. I na tę drugą anarchję zwraca uwagę p. Madariaga, który zbliska widział prace i wysiłki Ligi Narodów. Z tej swojej praktyki przytacza polityk hiszpański bardzo ciekawe spostrzeżenie: w okresie konferencji rozbrojeniowej jedno z państw sprzedało dwum innym broni i amunicji na sumę blisko pół miljarda dolarów, t. j. około 3 miljardów złotych! Nomina sunt odiosa, więc p. Madariaga nie wymienia kto z kim prowadził taki świetny handel w okresie prac rozbrojeniowych, nie mówi też, czy były to tranzakcje wymienne i jaki to bilans handlowy ratowano tym stalowo - spiżowym zastrzykiem.

Fałsz i obłuda stoją u podstaw dzisiejszej anarchji gospodarczo - politycznej.

Do obłudy tej przyzwyczaiła się opinja świata w sposób niebywały: nic jej nie razi.

Prowadzi to czasem do sytuacyj groteskowych.

Kanclerz Hitler w swojej jedynej książce, stanowiącej całą jego i jego państwa mądrość „Mein Kampf" m. in. napisał:

— „Niemcy nie mają wyobrażenia, do jakiego stopnia trzeba oszukiwać lud, gdy chce się pozyskać zwolenników dla jakiej sprawy w masach".

To cyniczne wyznanie jest bardzo cenne i wartoby o niem pamiętać, gdy ma się do czynienia z Hitlerem. Autor widocznie zrozumiał, że powiedział o sobie za wiele i w najnowszych wydaniach „Mein Kampf" ten aforyzm został opuszczony.

A oto inny przykład obłudy. Francja dostaje w swe ręce tajną instrukcję, wydaną przez kierowników partji Hitlera dla propagandy zagranicznej. Ogłasza te dokumenty gazeta *Le Petit Parisien*. Czynniki miarodajne niemieckie wypierają się tego dokumentu: ogłoszono go w chwili bardzo dla Berlina niedogodnej. Ale skoro je ogłoszono i miało to mieć jakiś cel użyteczny, to trzeba było rzecz doprowadzić do końca: powiedzieć, kto i w jaki sposób do tych dokumentów doszedł, oświetlić ich znaczenie i wartość. Tymczasem na wielkiem forum zaległa na ten temat cisza. Okólnemi drogami opinja mogła dowiedzieć się, że dokumenty są autentyczne, że do posiadania ich doszedł rząd francuski przy pomocy rządu... Stanów Zjednoczonych. Jeden z agitatorów hitlerowskich w St. Zjednoczonych Spanknöbel porzucił je nieostrożnie w swojem mieszkaniu, kryjąc się przed aresztowaniem za nielegalną akcję w Ameryce. Dokumenty te zawierały m. in. polecenie prowadzenia propagandy antysemickiej w Stanach Zjednoczonych na tle niepowodzeń prezydenta Roosevelta, mającego wielu doradców Żydów. I to głównie dotknęło Biały Dom.

Pomimo to prezydent Roosevelt nie

zdecydował się na zrobienie Niemcom przykrości i odpowiednie zareagowanie na instrukcje, tylko odstąpił je Francuzom. I tu znowu, aby nie psuć sobie atmosfery przyszłych rozmów w cztery oczy z kanclerzem Hitlerem, z dokumentów zrobiono tylko połowiczny użytek.

Zastosowano tu w szerokiej skali zasady rozbrojenia moralnego, aby „nie drażnić i nie budzić waśni"; ale — to trzeba stwierdzić z całą stanowczością — takie stosowanie zasady jest wypaczeniem rozbrojenia moralnego.

Pod płaszczykiem unikania tarć ułatwia się grę w hitlerowski pokój. Pisał o niej niedawno na łamach prasy angielskiej i amerykańskiej bawiący na kuracji Lew Trockij w artykule p. t. „Hitler — pacyfista", co następuje:

— Trzeba widzieć, co się dzieje. Hitler opuścił Genewę nie wskutek nerwowej improwizacji, lecz wedle rozważonego na zimno planu. Hitler zapewnił sobie spisek milczenia. Prowadzi pracę nad gruntowną zmianą stosunku sił militarnych. Obecnie, gdy praca ta nie dała jeszcze decydujących wyników, musi on być jaknajbardziej ostrożnym na arenie europejskiej: nikogo nie przerażać i nikogo nie drażnić, przeciwnie szeroko otworzyć ramiona. W ciągu najbliższych 2, czy 3 lat musi Hitler za wszelką cenę zapobiegać wojnie prewencyjnej ze strony przeciwników. W tych granicach jego pacyfizm jest absolutnie szczery.

Dłuższa cytata z wywodów obserwującego świat zdala Trockiego ujmuje bardzo trafnie sytuację, w której żegnamy 1933, a witamy 1934 r.: spisek milczenia dokoła hitleryzmu.

Spisek ten oparty na fałszu i obłudzie pokrywa i podsyca głęboki rozstrój i anarchję dla utrzymania tych prądów, które w przejściowych fazach rozwoju ludzkości sprawują nad nią rządy.

St. Gr.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.650.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 763-A Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 5.